

□ Czas czytania: 17 min.

Historia Sługi Bożego Ignacego Stuchły'ego (1869–1953) pozwala zaobserwować, w złożonym kontekście historycznym, jak salezjańska świętość może przybrać formę poprzez stały zestaw cnót praktykowanych w codziennym życiu. Urodzony na Morawach w Cesarstwie Austro-Węgierskim, ukształtowany w wierze w środowisku wiejskim i naznaczony słabością fizyczną, Stuchły powoli dojrzewał do swojego powołania, wytrwale szukając woli Bożej pośród prób, zamkniętych drzwi i nowych początków. Spotkanie z charyzmatem Księdza Bosko i z księdzem Ruą ostatecznie ukierunkowało jego drogę: konkretne ubóstwo, posłuszeństwo, męstwo, czystość, duch ofiary i ojcowska postawa wychowawcza stały się stałymi cechami jego cnotliwego „habitus”. Jako formator i inspektor przeszedł następnie przez wojny i prześladowania, pozostając punktem odniesienia dla współbraci i młodzieży.

1. W poszukiwaniu woli Bożej

Sługa Boży urodził się 14 grudnia 1869 r. w Bolesławiu na Morawach: był poddanym tej ogromnej mozaiki języków, kultur i tradycji, jaką w tamtym czasie reprezentowało Cesarstwo Austro-Węgierskie, będące w swej ostatecznej formie wynikiem *Ausgleichu* z 1867 r. między Cesarstwem Habsburgów a Królestwem Węgier.

Jako czwarte z dziesięciorga dzieci otrzymał proste, ale solidne wychowanie w wierze katolickiej, co było łatwiejsze na Morawach niż w Czechach, zdominowanych wówczas przez protestantyzm i gdzie antykatolicyzm był instrumentalnie wykorzystywany do przeciwdziałania wpływom Habsburgów, którzy byli sprzymierzeni w obronie papieża.

Będąc jeszcze dzieckiem, Ignacy pomagał rodzicom w ciężkiej pracy w polu: posiadali oni średniej wielkości gospodarstwo i kilka koni, co kwalifikowało Stuchłych jako dość zamożnych:

Posiadali również kilka koni. Nie byli więc zupełnie biedni.

Było to wiejskie domostwo ze wszystkim, co do niego należało, jak stajnia, obora, pola itd. [...]. sługa Boży należał do przeciętnej miejscowej ludności.

Ówczesny region – leżący na pograniczu ze Śląskiem, którego część obejmował – charakteryzował się dominującym rolnictwem, pewnym ubóstwem ludności i oczywistym ukierunkowaniem na kulturę niemiecką. Zimy były surowe. Aby wziąć udział w porannej mszy, Ignacy musiał przejść 8 kilometrów (4 tam i 4 z powrotem). Podczas tych spacerów Ignacy modlił się, pochłonięty kontemplacyjną medytacją. Czasami udawało mu się odmówić tylko jedno „Ojcze nasz” podczas całego spaceru: zatrzymywał się w miłosnej kontemplacji nad każdym słowem, rozważając je uważnie i często będąc poruszonym. W ten sposób, nie wiedząc o tym, przechodził już od modlitwy słownej do myślniej, zastanawiając się nad Tym, do którego się zwracał i ucząc się rozpoznawać Go jako Ojca.

Uczęszczał do niemieckiej szkoły, gdzie do dialektu morawskiego używanego w rodzinie, doszedł język niemiecki, a nie czeski: sługa Boży nauczył się go jako dorosły, ale nigdy nie byłby w stanie go doskonale opanować. Morawski Ołomuniec był administracyjnie częścią Śląska, który obejmował terytoria, które we wzlotach i upadkach historii XX wieku przeszły z Niemiec do Polski.

W szkole Ignacy nigdy nie wyróżniał się szczególnymi zdolnościami intelektualnymi, był jednak uczciwy, szczery i heroicznie wytrwały. Tutaj poznał Jana Kolibaja, nauczyciela, który wpłynął na jego rozwój bardziej niż ktokolwiek inny. Dusza artysty, zapalony skrzypek, a przede wszystkim miłośnik Maryi Panny, Kolibaj uczył swoich uczniów pieśni maryjnych, a śpiewając je z nimi, często wzruszał się do łez. On, prosty świecki, obudził w swoich uczniach gotowość do słuchania głosu Pana, który wzywa: wprowadził wśród nich dyskretne, ale skuteczne duszpasterstwo powołaniowe. Podobnie jak czcigodny Jan Tyranowski z Karolem Wojtyłą, tak Jan Kolibaj ćwiczył wewnętrzne ucho chłopca ze Stuchły, aby wychwycić ten „głos subtelnej ciszy”, w którym można wyrazić Boże wezwanie. Pewnego dnia Kolibaj zapytał go nawet wprost, czy chciałby zostać księdzem. Ignacy jednak, zaskoczony, odpowiada, że nie. Czekąco go życie rolnika wraz z braćmi. Kiedy musiał zrezygnować z odziedziczenia gospodarstwa ojca z powodów zdrowotnych, a preferowany był inny brat, sługa Boży początkowo myślał o zostaniu krawcem: zawód, który wymagał niewielkiej energii i wydawał się odpowiedni dla jego chronicznie słabego stanu. Projekt ten jednak upadł, z powodów niemożliwych dziś do odtworzenia. Pozostał więc na gospodarstwie, jako „gość” w posiadłości, która

nigdy nie miała należeć do niego.

Jednak jego stan zdrowia nagle się poprawił, gdy w wieku 16 lub 17 lat odwiedził „ludowego uzdrowiciela” w Bohuminie:

W dzieciństwie i młodości chorował i choroba ta wydawała się nieuleczalna. Uzdrowiciel ludowy poradził mu, aby nie jadł kwaśnych produktów, spożywał mleko i pił dużo tłuszczu z ryb. To przyniosło mu wiele dobrego i mógł pomagać w polu na farmie ojca. Dopiero później zdecydował się pójść na studia.

Podczas gdy ten ludowy uzdrowiciel leczył jego ciało, badał również jego duszę i wypowiedział przepowiednię o nim: zostanie uzdrowiony i zostanie księdzem. Potomek, Jan Michał Stuchlý, zeznaje:

[Pierwotnie] miał pozostać spadkobiercą gospodarstwa ojca, ale potem, z powodu słabego zdrowia i gdy żadne lekarstwa nie pomagały, spadek przeszedł na jego brata Josefa, mojego dziadka. Po długich poszukiwaniach Ignacy w końcu znalazł popularnego uzdrowiciela w Bohuminie, który przepowiedział mu: „Wyzdrowiejesz” i „zostaniesz księdzem”. Miał wtedy około 20 lat.

Tym razem jednak Stuchlý odpowiedział „tak!”. Co więcej, jego powołanie kapłańskie wydawało się teraz nieosiągalne: niewiele się uczył, nie znał ani słowa po łacinie, przekroczył wiek, w którym młodzi mężczyźni wstępują do seminarium, a jego rodzina nigdy nie mogła go wesprzeć finansowo. W międzyczasie praca na farmie narażała go na pewne niebezpieczeństwa, takie jak wpadnięcie pod sanie ciągnięte przez dzikie konie, których kopyta biły wściekle blisko jego głowy: myślał, że umrze, ale wyszedł bez szwanku i nadal kochał wesołe konie, tak jak był wesoły i lubił ludzi, którzy byli optymistyczni, gotowi i pełni energii.

Lubił też tańczyć (choć zawsze wracał przed północą, by przygotować się do Eucharystii następnego dnia). Ponadto umiał cieszyć się dobrymi rzeczami w życiu: cecha, którą zachował w nadchodzących latach, kiedy na przykład poleciał młodej

kobiecie, która miała wstąpić na religię, zapisać się bez fałszywych skrępowań na sezon koncertowy, aby cieszyć się – póki może – dobrą muzyką. Dobrze zintegrowany z grupą przyjaciół, sługa Boży wyróżniał się wzorową czystością: jego postawa, jako przykład dla innych, stała się uspokajająca dla rodziców, którzy – w latach, gdy jednoczesna obecność chłopców i dziewcząt była znacznie mniej swobodna niż dzisiaj – bez obaw pozwalali swoim córkom dołączyć do wesołego towarzystwa, jeśli wiedzieli, że Ignacy jest również jego częścią.

On, młody wśród młodych, przypomina już to, o co później Pan poprosi go z powołania: młody dla młodych, wśród których daje świadectwo wczesnego obdarowania duchowym ojcostwem.

2. Wielki wybór: wśród salezjanów Księdza Bosko

Pewnego dnia nastąpił punkt zwrotny. Jest zajęty pracą na polu. Nagle słyszy pieśń dobiegającą z pobliskiego cmentarza: to ksiądz, który na zakończenie pogrzebu zaintonował *Salve Regina*: kolejną pieśń maryjną, podobną do tych, których nauczył go Jan Kolibaj. Tego dnia sługa Boży był głęboko poruszony, niemal porażony piorunem, jak powie później, pięknem bycia księdzem, aby móc zaintonować hymn do Matki Bożej: odtąd z całą determinacją chciał zostać księdzem, aby „móc zaintonować również ten hymn”; być księdzem, aby śpiewać Maryi. *Salve Regina* wywarło na nim tak wielkie wrażenie, że ciągle rozbrzmiewało w jego wnętrzu. Etapy rozeznawania powołania, a następnie jego własne życie – naznaczone zmęczeniem i cierpieniem – uczyniłyby również z samego Ignacego niemal ikonę modlitwy skierowanej do Królowej Niebios, Matki miłosierdzia, która przychodzi z pomocą swoim dzieciom w próbie, na wygnaniu, w dolinie łez.

Kiedy wkrótce potem – być może także zauważając jego odzyskaną kondycję fizyczną – jego ojciec okazuje się skłonny dać mu pole i zachęca go do znalezienia dobrej młodej kobiety, z którą mógłby założyć rodzinę, Ignacy odrzuca propozycję: ogłasza swoje powołanie rodzicom, a oni nie stawiają oporu. Sługa Boży, któremu wcześniej odmówiono tego, do czego mógł mieć prawo (odziedziczenia gospodarstwa), teraz dobrowolnie wyrzeka się tego, czego kiedyś pragnął, a teraz mógł otrzymać. Jego powołanie nie było zatem cząstkowym wyborem, jakby reorganizacją tego, co widział dotąd jako nieprzekraczalne ścieżki: ale prawdziwym powołaniem, przyjętym przez wypowiedzenie kilku „nie” i – ewangelicznie – wyrzeczenie się całego swojego majątku w celu zdobycia „drogocennej perły”.

Ma jednak dwadzieścia lat i nikt nie chce go przyjąć. Kiedy proboszcz dowiaduje się o jego pomysłе zostania księdzem, śmieje się i radzi mu, aby o tym zapomniał, był rozsądny i wrócił na gospodarstwo. Sługa Boży był wysokim, otwartym, szczerym facetem o jasnoniebieskich oczach i rudych włosach. Zostaje wysłuchany przez wikarego, który zachęca go, by się nie zniechęcał i miał wiarę. Następnie opowiada mu o ojcu Aniele Lubojackim, przeorze dominikanów, który rozważał „założenie nowego zgromadzenia na wzór księdza Bosko”, zaangażowanego w pojednanie z Kościołem prawosławnym. Szukał młodych aspirantów, a Ignacy, niezbyt zorientowany w dynamice Kościoła, zgodził się. Wyruszył z przyjacielem: był to czas żniw pszenicy, a oni – podobnie jak Szymon i Andrzej oraz Jan i Jakub, którzy porzucili sieci – zostawili sierpy żniwa, aby pójść za Jezusem.

Od razu czekały go wielkie trudności: musiał zmagać się z gramatyką czeską i łacińską. Wysiętek był tak wielki, że rozważał porzucenie tego wyboru. Nie poddał się jednak i sam, lubiąc szybkie konie, nauczył się w ciągu tych miesięcy trudnej sztuki „konia pociągowego” (do którego Ignacy został porównany przez przyjaciela!): posuwał się powoli pod obciążeniem, nie zniechęcając się. Próbował zapuścić korzenie pośród tysiąca niepewności. W ten sposób sługa Boży zaczął ćwiczyć dwie cnoty, które później będą charakteryzować jego duchowy profil: męstwo i ubóstwo.

W międzyczasie zakon dominikanów zaczął postrzegać ojca Anioła, przeora, który chciał zostać założycielem, z coraz większym sceptycyzmem, bo postępował bez wsparcia przełożonych i bez zgody z prowincją dominikańską. Bóg jednak, który umie wyprowadzić dobro także ze zła, pomaga Ignacemu Stuchlemu w międzyczasie. Sprawia, że spotyka ks. Antonína Cyrila Stojana, już wtedy świętego kapłana (późniejszego arcybiskupa Ołomuńca, od 1921 r.; dziś czcigodnego sługę Bożego). Rozmawiał z nim o księdzu Bosko, którego był wielkim wielbicielem (w Czechach i na Morawach salezjanie jeszcze nie byli obecni, ale zaczęto tłumaczyć książki o świętym). Stojan kojarzył Stuchlý’ego z wizytami w rodzinach: w ten sposób mógł zapoznać się z pracą i pięknem duszpasterstwa oraz stać się znawcą dusz.

Wciąż wierząc, że jego przyszłość będzie związana z tym nowym zgromadzeniem w stylu dominikańskim, rozpoczął praktykę duszpasterską i salezjańską: nie był jednak świadomy, że jest to jego prawdziwe powołanie. Ze względu na swoje cnoty był również nieoficjalnie uważany za „prefekta” tej małej wspólnoty aspirantów: to także była rola, którą on – przyszły salezjanin – miał pełnić przy kilku okazjach przez

dużą część swojego życia.

Nagle nadzieje sługi Bożego zdają się załamywać. Trudności finansowe, opóźnienie w przyznaniu pewnych zezwoleń z Wiednia, a przede wszystkim sprzeciw biskupa, prowadzą do nagłego niepowodzenia planów ojca Anioła, który w międzyczasie opuścił dominikanów. Ojciec Anioł doznaje załamania psychicznego: zostaje znaleziony błąkający się po ulicach i – teraz już oderwany od swojego zakonu – przyjęty do kleru diecezjalnego. Młodzi rozpraszają się. Sługa Boży, w wieku 24/25 lat, wydaje się mieć jedyną perspektywę powrotu do domu. Nauczył się jednak łaciny i poznał księdza Bosko. Nie poddał się i wyruszył w bolesną pielgrzymkę w poszukiwaniu swojego powołania. Są to trudne miesiące, w których puka do wielu drzwi, ale zawsze jest odrzucany. Nawet próba u jezuitów, którzy w pierwszej instancji wydawali się gotowi go przyjąć, choć być może jako brata nie-prezbitera i pod warunkiem, że będzie dostępny dla misji, nie powiodła się.

Odblokowaniem tego rozeznania – które było szczególnie bolesne – było spotkanie z księdzem, być może jego byłym spowiednikiem. Powiedział mu: „Nie pójdziesz do jezuitów, ale do salezjanów. Idź do domu i czekaj”. Zaledwie trzy dni później sługa Boży miał w rękach telegram od księdza Rua – pierwszego następcy księdza Bosko – wzywający go do Turynu. Ignacy Stuchły pospiesznie spakował swoje nieliczne rzeczy i wyruszył w drogę. Pożegnał się z rodziną, jakby już nigdy miał jej nie zobaczyć: w tamtych czasach wyjazd do Włoch był równoznaczny z wyjazdem misjonarza do odległego kraju. Nie zna nawet języka, ale zostawia wszystko, ufa wszystkiemu i wyrusza. Dołącza do grupy „Synów Maryi”, jak nazywali ich salezjanie, dorosłych powołań.

3. U źródeł charyzmatu salezjańskiego

W Turynie pierwsze spotkanie z Przełożonym Generalnym odbyło się po łacinie: rozumieli się wspaniale, pokonując przeszkodę, jaką stanowił fakt, że jeden nie znał morawskiego, a drugi włoskiego. Ks. Rua był kapłanem z darem czytania serc i umiał zrozumieć ludzi w świetle Bożego planu wobec nich: od niego więc pochodziły decydujące punkty zwrotne w życiu salezjańskim Ignacego.

Pierwszymi etapami formacji Sługi Bożego były Turyn-Valsalice i Ivrea. Szczególnie Valsalice stało się dla niego szkołą formacji rozumianej jako szkoła świętości. W tym czasie rozkwitła tu świętość wielu osób, takich jak ks. Luigi Variara (błogosławiony),

książę ks. August Czartoryski (błogosławiony), a zwłaszcza ks. Andrea Beltrami (czcigodny). Ignacy wzrastał więc w tym klimacie, silnie zorientowanym na ofiarę z życia i hojny dar z siebie. Motto ks. Andrei Beltramiego (chorego na gruźlicę, która doprowadziła do jego śmierci w 1897 r.) – „ani żyć, ani umrzeć, ale cierpieć i cierpieć” – wychowuje Ignacego Stuchlego w duchowości ofiary i zadośćuczynienia. Czyniąc to, uczy się stosować w całości motto *da mihi animas, caetera tolle* od pierwszych miesięcy formacji salezjańskiej: to właśnie *caetera tolle* uwiarygodnia *da mihi animas*. Skorzystał także z niemal codziennej bliskości z przełożonymi wyższymi i dzielenia życia z pierwszym pokoleniem salezjanów: tych uformowanych przez Księdza Bosko, którego szczątki spoczywały wówczas w Valsalice, w kontekście wielkiej propozycji powołaniowej i wyraźnego wezwania do zostania świętymi.

Przeniesiony do Ivrei, przeszedł tam formację misyjną: w rzeczywistości jego przełożeni rozważali zmuszenie go do odejścia, a następnie poprosili go – aby jak najlepiej wykorzystał jego doświadczenie jako rolnika – o ukończenie studiów z zakresu agronomii. W międzyczasie stał się stałym bywalcem księdza Rua, który poprosił go, aby towarzyszył mu w odmawianiu różańca wieczorami: i pewnego dnia Ignacy Stuchły dał księdzu Rua swoją własną koloratkę, aby zastąpić jego własną, już zużytą. Kiedy później ks. Rua dowiedział się, że Ignacy jest przeznaczony na misje, nakazał mu wycofać swoje podanie. „Twoja misja jest na północy”, mówił. Ignacy wierzy w to, przedstawia się ks. Giulio Barberisowi, przekazuje mu usłyszane polecenie i pozostaje do dyspozycji Zgromadzenia, nie wiedząc, jakie będzie późniejsza decyzja.

Ks. Rua pomógł mu także w chwili trudności, gdy pod koniec nowicjatu napadły go wątpliwości, czy będzie w stanie wytrwać w swoim powołaniu: strach był tak wielki, że nawet pocił się podczas medytacji. Został wtedy poproszony o natychmiastowe złożenie profesji wieczystej: zaufał i pokusa zniknęła, przywracając mu jego zwykły spokój i radość, które już nigdy go nie opuszczają. Był to dowód pokory i posłuszeństwa – innych cnót, które zostały uznane za typowe dla Stuchlego w nadchodzących latach.

Sługa Boży, już po profesji wieczystej, mógł wyruszyć w drogę ku kapłaństwu, studiując teologię. W międzyczasie przełożeni wysłali go do Gorycji, ówczesnego miasta Habsburgów, gdzie salezjanom powierzono kolegium św. Alojzego w celu formacji powołań kościelnych w diecezji, w której brakowało kapłanów. Przeciężony zobowiązaniami, odpowiedzialny za aspekt ekonomiczny i – choć na początku nie był jeszcze kapłanem – wyjątkowo już prefektem domu, sługa Boży w tych latach

(1897) stał się sługą wszystkich. Ale niestety nie może nadążyć za egzaminami. Przełożeni potrzebują jego pomocy i zapominają dać mu czas na naukę, co jest warunkiem wstępnym do święceń. Nie prosi o nic i jest radośnie posłuszny. Wicedyrektor i odpowiedzialny za postęp moralny dzieła salezjańskiego w Gorycji, wykładowca, uważny na praktyczne i ekonomiczne problemy domu, zdolny do mediacji ze światem świeckim i dobroczyńcami... Po raz kolejny, w końcu, ksiądz Rua interweniuje opatrnościowo, domagając się uregulowania jego sytuacji.

Ignacy Stuchlý został wyświęcony na diakona 22 września 1900 roku, a na kapłana 3 listopada 1901 roku. Nie odbył nawet rekolekcji przygotowujących do święceń. Święcenia odbyły się w prywatnej kaplicy ówczesnego arcybiskupa Gorycji, kard. Giacomo Missia. Potem nie było świętowania: dzień szkolny jak inne, tylko nieco wystawniejszy obiad. Następnie pozostał w domu salezjańskim, zajmując się swoimi zwykłymi obowiązkami, zawsze przeciążony i zapominający o sobie.

Te obowiązki w domu salezjańskim nie odciągają go jednak od kontaktu z ludźmi, wśród których umie znaleźć współpracę: przede wszystkim w życiu diecezji. Podczas gdy kolegium świętego Alojzego zapewniało formację przyszłych kapłanów, sam kardynał Missia uzyskał od dyrektora salezjańskiego w Gorycji, ks. Giovanniego Scaparone, zapewnienie, aby nowo wyświęcony ksiądz Stuchlý towarzyszył mu w poświęceniu parafii i wspólnot religijnych Najświętszemu Sercu. To nabożeństwo do Najświętszego Serca, które w tamtym czasie było również mocno odczuwane przez salezjanów, pomogło słudze Bożemu coraz bardziej formować się na prawdziwego kapłana Chrystusa. Co więcej, praca z arcybiskupem dawała mu możliwość poznania rzeczywistości diecezji, w „bezpośrednim kontakcie” z jej konkretnością, nadziejami i problemami. Po raz kolejny kształtuje się jako człowiek słuchania i dialogu, prawdziwy duszpasterz. Od niedawna spowiednik, widzi wielu ludzi, którzy do niego przychodzą. Jego włosy, już siwe, pomagają szerzy jego sławę eksperta i mądrego spowiednika. Ale on naprawdę taki jest: i pozostanie taki do końca życia.

4. Na froncie misji

Następnie, po 13 latach spędzonych w Gorycji, które zawsze będzie wspominał jako najpiękniejszy okres swojej salezjańskiej młodości, pojawiło się nowe zadanie: ksiądz Stuchlý został wysłany do Lublany w Słowenii. Tutaj dzieło salezjańskie – które powstało kilka lat temu na przedmieściach Rakovnika (przedmieścia stolicy, graniczące ze wzgórzem Golovec, w pobliżu wzgórz i lasów, przez które można

dotrzeć pieszo do Zagrzebia) – znajdowało się w poważnym kryzysie gospodarczym, prawie na skraju bankructwa. Budowa kościoła – który miał być poświęcony Maryi Wspomożycielce – stała w miejscu od lat, a plac budowy, wciąż otwarty, narażał go na działanie czynników atmosferycznych i zużycie. Potrzebny był praktyczny człowiek z pulsem, zdolny – w tamtych czasach częstych strajków budowlanych, kryzysów firmowych i tyfusu – do motywowania ludzi.

Ks. Pietro Tirone (który poznał sługę Bożego podczas formacji w Ivrei, robiąc bardzo dobre wrażenie) pamiętał go. Choć był kapłanem od niedawna, ale był 41-letnim mężczyzną w pełni dojrzałym i doświadczonym w sprawach życiowych. Dzięki swojemu słowiańskiemu pochodzeniu nauka słoweńskiego nie sprawiała mu większych trudności.

W 1910 r. przybył do domu salezjańskiego, w którym planowano założyć oratorium, szkołę z internatem, a później szkoły zawodowe. Pierwsza praca, powierzona salezjanom przez państwo i niemal im narzucona, polegała jednak na zagwarantowaniu ukończenia pierwszego cyklu szkolnego problematycznym chłopcom, pochodzącym z poprawczaka lub więzienia. Salezjanie rozpoczęli więc w Słowenii pracę w taki sam sposób, jak Ksiądz Bosko, idąc do więzień i do tych ostatnich, aby sprawić, że rozkwitła wśród nich nadzieja, stosując „system prewencyjny” przeciwko „systemowi represyjnemu”. Salezjanie dają wiarę, angażując się w całe dzieło odbudowy ludzkiej, duchowej i społecznej, które zostanie uwieńczone sukcesem. Kilka lat później utworzą klasy mieszane, z chłopcami sprawiającymi problemy wychowawcze i innymi, pochodzącymi ze zdrowszych środowisk. Jedni będą pomagać drugim, a sukces eksperymentu przyczyni się do wzrostu akceptacji i szacunku dla salezjanów w Słowenii.

Tymczasem w Rakovniku sługa Boży musi zadbać o rozwój domu i sprawne funkcjonowanie relacji wspólnotowych. Spędzał także wiele czasu wśród ludzi, których czynił odpowiedzialnymi, przyciągając ich do charyzmatu Księdza Bosko i w ten sposób tkając gęstą sieć miłosierdzia. Ks. Stuchlý musiał codziennie wyżywić 200 osób. Zawsze brakowało pieniędzy i podejmował się niezliczonych prac: zarezerwował dla siebie kilka kawałków czarnego chleba i poszedł żebrac, narażając się na upokorzenia, które czasami otrzymywał. Byli jednak i tacy, którzy mu pomagali: jak młoda kobieta, która oddała salezjanom cały swój posąg ze słowami:

„To dla Matki Bożej!": w tamtych czasach oddanie posagu oznaczało w pewnym sensie oddanie swojej przyszłości i życia, ponieważ bardzo utrudniało wyjście za mąż. Sługa Boży pamiętał więc i zawsze przypominał swoim współbraciom, że tak jak pieniądze salezjanów należały do ubogich, którzy byli prawdziwymi panami, tak dobroczyńcom należało być wdzięcznym, czyniąc dokładny i uczciwy użytek z tego, co udostępniali. Był człowiekiem poświęcenia, z którego promieniowała absolutna ufność w Opatrzność Bożą.

Na krótki czas (1919-1921) został przeniesiony do domu w Verzej, gdzie w skrajnym ubóstwie zaczynał od jednego naczynia do jedzenia i mycia, a następnie powrócił do Lublany. Tutaj 8 września 1924 r. odbyła się uroczysta konsekracja sanktuarium maryjnego poświęconego Maryi Wspomożycielce. Na tę okazję przybył także kard. Giovanni Cagliero, jeden z „chłopców” Księdza Bosko. Wieczorem mógł długo rozmawiać ze sługą Bożym, który zapamiętał ten moment do końca życia, wdzięczny i wzruszony ojcowską serdecznością, z jaką Cagliero go przyjął.

We wrześniu, kiedy wyczerpująca praca, która zajmowała go w stolicy Słowenii przez prawie 15 lat, dobiegła końca, sługa Boży mógł, przynajmniej na chwilę, zatrzymać się: bracia nagle zdali sobie sprawę, jak bardzo zestarzał się pod ciężarem zmartwień i zmęczenia. Jego uśmiech był jednak zawsze tak jasny jak u dziecka; jego wola tak silna jak zawsze; jego wewnętrzna energia, która pomagała mu przetrwać fizyczne i psychiczne zmęczenie, tak niezłomna jak zawsze. W dniu poświęcenia sanktuarium przydzielono go do oratorium niedaleko: przez chwilę wierzył, że będzie mógł prowadzić normalne życie salezjańskie, ale to nie było jego prawdziwe przeznaczenie. Musiał wrócić do Włoch w 1925 roku.

5. „Stary człowiek” zawsze młody

Tutaj, w Perosa Argentina w Piemencie, budowano dom dla formacji pierwszych czeskich i morawskich powołań salezjańskich. Przez dwa lata, do 1927 r., pełnił funkcję wicedyrektora wspólnoty, która była równie obiecująca, co problematyczna i bardzo niejednorodna: tam też przeprowadził niełatwe rozeznanie powołania, dyskretnie usuwając osoby bez prawdziwych nadprzyrodzonych motywacji, a zamiast tego pomagając chętnym młodym ludziom dostosować się do kontekstu – włoskiego, a nie czeskiego, religijnego, a już nie świeckiego – tak odmiennego od tego, z którego pochodzili. Potrzebny był spokój, roztropność, sprawiedliwość i wiele miłosierdzia: posiadał je sługa Boży, człowiek słuchający i rządzący. Młodzi mieli

nadzieję na młodego „zbawcę”, biegłego we wszystkim, silnego: znaleźli się przed „małym starcem”, który mówił po czesku z błędami: ale to było tylko pierwsze wrażenie; kiedy go poznali, odkryli jego cnoty i promienne ojcostwo. Początkowy sceptycyzm zamienił się w zaufanie: pogodny wygląd, pełne miłości spojrzenie i stabilny uśmiech sługi Bożego otwierały i podbijały serca.

Ks. Oldřich Med, późniejszy pierwszy biograf sługi Bożego, stwierdza: „Rozczarowanie powoli zaczęło zanikać i zostało zastąpione przez zaufanie [...]. Jego pogoda ducha i ufność rozchodziły się po nas. Ten człowiek, który nigdy nie obrażał się, gdy dokuczano mu z powodu jego czeskiego języka, który interesował się każdym z nas jak prawdziwy ojciec i [...] zawsze był z nami, to nas przekonało”. Zaszczepił w tych młodych ludziach nadzieję, że ich pobyt w Perosa Argentina nie był czasem straconym. W krótkim czasie ks. Stuchlý wszedł do ich serc i zmienił ich życie: wielu odniosło wspaniały salezjański sukces. Następnie, w 1927 r., przełożeni postanowili rozpocząć pracę we Frystáku. Do niego należało przeszczepienie dzieła do ojczyzny. W międzyczasie powierzano mu coraz większe obowiązki; w 1935 r. został inspektorem: najpierw inspektorii czechosłowackiej, a następnie, od 1939 r., inspektorii czeskiej noszącej imię „św. Jana Bosko” i obecnie odrębnej od słowackiej inspektorii „Maryi Wspomożycielki”. Salezjanie zostali również wezwani na te ziemie, aby powstrzymać odpływ księży (około 200) i wiernych (około pół miliona) z Kościoła katolickiego do Kościoła prawosławnego lub niedawno założonego Kościoła narodowego. Był to okres wielkiej ekspansji pracy salezjańskiej w Czechach, a Stuchlý, jako inspektor, zawsze w kontakcie z przełożonymi w Turynie, był w stanie wyszkolić to pierwsze pokolenie – bardzo młodych i niedoświadczonych – czeskich salezjanów w doskonałym przestrzeganiu ślubów zakonnych i charyzmatu Księdza Bosko.

Kiedy jednak pięciu młodych zakonników po raz pierwszy poprosiło o koncesje sprzeczne ze ślubem ubóstwa, a jeden z nich pomógł rozpowszechnić niesławne oszczerstwo na temat włoskiego księdza Giuseppe Coggioli, Stuchlý postąpił stanowczo. Zwrócił się do Turynu i to ówczesny katecheta generalny ks. Pietro Tirone przeprowadził dochodzenie, równie szybkie, co zdecydowane, które wkrótce doprowadziło do zwolnienia osoby odpowiedzialnej i pełnej rehabilitacji ks. Coggioli. On, jako spowiednik domu, nie mógł się bronić, a jego jedyna wina – bycie Włochem – polegała na reprezentowaniu, w oczach zbuntowanych zakonników, przykładu „italianizacji”, którą postrzegali jako restrykcyjną w stosowaniu Konstytucji i Regulaminów.

Druga wojna światowa – wraz z zamknięciem domów i rozproszeniem braci – a następnie zbliżający się komunistyczny totalitaryzm, boleśnie naznaczyły ostatnie lata życia Sługi Bożego. Dotknięty apopleksją na miesiąc przed „barbarzyńską nocą” (kwiecień 1951 r.), podczas której wszyscy zakonnicy w Czechosłowacji zostali wyrzuceni z domów i internowani, mieszkał najpierw w domu starców w Zlinie, a następnie w hospicjum w Lukovie. Przepowiednia, którą sam wygłosił, ku ogólnemu niedowierzaniu, kiedy – u szczytu pracy salezjańskiej w swojej ojczyźnie – powiedział, że w swoich ostatnich latach będzie miał szczęście, jeśli jakaś kobieta da mu trochę chleba i sfermentowanego mleka, ponieważ umrze samotnie i z dala od wszystkich. Opiekowały się nim siostry zakonne, kontrolowane przez reżim.

Jednak jego życie, nawet w tych trudnych okolicznościach, kwitło w pokoju, radości i dobru dla wielu, którzy go spotkali. Odszedł spokojnie wieczorem 17 stycznia 1953 r., a na jego pogrzebie 22 stycznia porównano go do nowego świętego Jana Marii Vianneya. Dziś jest pamiętany jako „czeski ksiądz Bosko”.